

# Z dała od filmu, z dała od TV

## Rozmowa z Jadwigą Jankowską-Cieślak

— Pani pierwszy występ po powrocie do Teatru Dramatycznego rozczarował publiczność. Po Elektrze, Medel, Rozalindzie rola Niamh Kinnore w słabej farsie... Czy aktorka, zwłaszcza laureatka Złotej Palmy w Cannes, nie ma prawa wyboru ról w teatrze?

— Aktor nie tyle może wybierać, co może odmówić zagrania jakiejś roli. Ale sytuacja była dość specyficzna, teatr się dopiero rozkręcał. Nie mogłam na pierwszą propozycję odpowiedzieć: nie. Nie chciałam się ustawiać na pozycji kapryśzającej gwiazdy, ale członka zespołu. Nie wiem, czy było to słuszne posunięcie, może trzeba było się zachować jak rozkapryszona gwiazda. „Motel” był pozycją przegraną z tego powodu, że nie się przedtem w teatrze nie dokonało. Miał to być przerwany między wielkimi, wspaniałymi pozycjami inscenizacyjnymi czy dramatycznymi i tylko jako taki miał prawo bytu. Odpowiedzialność, która spada na nas za to nieudane przedsięwzięcie jest tym bardziej przykra, że rozpatruje się nas jakby w kategorii „Moteli”, a nie możliwości jakimi dysponujemy. Ale jest to ryzyko zawodowe, które trzeba podejmować jeśli się nie chce kompletnie przepaść. A ja już dość miałam siedzenia z założonymi rękami i bardzo chciałam zacząć cokolwiek robić, żeby to koło zaczęło się kręcić.

— I one rozkręciła się.

— Tak. Na razie mierne są tego rezultaty, ale ja się tym nie zalamuję, ponieważ skoro jest koleś, może znowu się odwróci.

— Do tej pory pobyt w Teatrze Dramatycznym dawał pan bardziej korzyści towarzyskie aniżeli zawodowe.

— No, tak, ale to też ma swoje dobre strony, bo jak się siedzi parę lat w domu, jest to potem bardzo miła odmiana. Zaują tylko odcieczki z teatru Krzysztofa Zaleskiego, Piotra Prochoczeńskiego, Marka Kondrata.

— Ale nie myśli pani o odejściu z Dramatycznego?

— Nie. To moje miotanie się między teatrami w ostatnich latach nie dało. Myślę, że moje miejsce jest w Dramatycznym.

— Zdaje sobie pani sprawę z tego, że odbudowanie teatru i porządek jak miał ten teatr przed laty może potrwać jeszcze kilka sezonów.

— Myślę, że to pokolenia muszą na to zapracować. Zresztą dyrektorstwo Zbyszka Zapasiewiczza trwa na razie sezon i wydaje mi się, udowodnia tę tezę, że nie jest to kwestia trzech lat, pięciu czy dziesięciu. Na to trzeba dużo, dużo więcej czasu i mądrej, przemyślanej działalności, przede wszystkim dyrektorskiej. A na ile jest taka działalność możliwa i kto byłby w stanie taką działalność prowadzić — to ja nie wiem.

— Kiedy byłam na premierze dwóch jednoaktówek Artura Millera, w których gra pani Właścicielkę sklepu i Angele, zwłaszcza w roli Angele wykonałam więcej wykalculowania aniżeli smeczki. Czy po tylu latach pracy w zawodzie artystycznym nie przeszedł technika?

— Nie, nie. Ale to co pani mówi jest prawdą. Jest to kwe-

stia zgrania się z partnerem. Premiera jest pierwszą konfrontacją między tym co się wypracowało a publicznością. A ponieważ nie byłam pewna wielu spraw, więc pokrywałam to umiejętnościami warsztatu. Teraz już wiem, gdzie leży ples pogrzebany i oczywiście z każdym przedstawieniem gra nabiera właściwych kształtów. Myślę, że przy jakimś dziesiątym przedstawieniu będzie to już mniej więcej ten rezultat, o który mi chodziło.

— Był to dla pani „flusty” sezon. Poza sceną macierzystą był „Baal” w Teatrze Powstańców, „Raj eskimósów” w Teatrze Nowym, w teatrze TV „Portret podwojny” Hartoga. Ale dlaczego nie gra pani nie w filmie?

— Całe szczęście. Ja się z tego tylko i wyłącznie cieszę. Nie chciałabym pracować w tej chwili w filmie, dlatego że tam jest sytuacja katastrofalna. Szkoda na to czasu, pieniędzy i zdrowia. To tylko zapalenie, albo ludzie młodzi nie wiedzący co to jest, są w stanie w tej chwili pracować w filmie. To naprawdę jest jedna wielka udręka. Nie mówiąc już nic na temat teatru TV.

Wczoraj nagralam trzy sceny w „Przebudzeniu wlosny” przedstawieniu, które mój mąż Piotr reżyserował. W tyłcu nie spotkałam się z takim bałaganem. Tam nie ma ani jednej kompetentnej osoby na swoim miejscu, tam wyłączałabym z tego ludzi, którzy są fachowcami jak np. kamerzyści, realizatorzy. Natomiast cała reszta jak organizacja i te wszystkie służby pomocnicze to jest jedna wielka paranoja. Tysiące ludzi do niczego nie przydatnych, kręcących się przeskadzających, niekompetentnych. Te trzy sceny, które nagrywaliśmy rozłożone



Fot. Julliusz Multarski

były na trzy dni, a że produkcja była taka a nie inna i plan się zawalił, trzeba było je nagrać w ciągu jednego dnia. Myśmy pracowali ponad 12 godzin w takich nerwach i w takim rozgardiaszu, że to się nie da opisać. Wszystko inne się liczyło, tylko nie to, że trzeba dobrze zagrać. Zagrać, byleby to skończyć. Także z daleka od TV i z daleka od kina. Tam wszystko się liczy, tylko nie sprawy artystyczne. Najgorzej opłacany jest aktor, najgorzej opłacany jest reżyser. Co z tego może wynikać?

— Po zdobyciu Złotej Palmy w Cannes, o ironie losu, nie gra pani w filmie. Czy jest to kwestia braku odpowiednich ról, czy może tego, że nie tkwi pani w układach?

— Nie. Są dla mnie role. Poza tym jestem w odpowiednich układach. Ale nie ma na mnie zapotrzebowania, nie zawsze się ono zbiega z oczekiwaniami publiczności. Nikt tego nie potrzebuje, nikt tego nie chce produkować, nikt tego nie chce reżyserować. A ja nie będę przy każdej okazji namawiać, że trzeba ze mną i że koniecznie. A jeżeli chodzi o rynek zachodni to bardzo żałuję, że nie salistniałam na nim, bo taka okazja zdarza się raz na tysiąc. Ale wtedy był stan wojenny i szanse miałabym jedynie po

wybraniu tzw. wolności. Po prostu, żeby móc odpowiedzieć na propozycje, odbyć próbną zdjęcie i zagrać. A ja w żadnym wypadku nie mogłam zostawić męża i dzieci dla kariery. Nigdy mi nie zależało na robieniu kariery za wszelką cenę. Poza tym, przecież tutaj w naszych polskich warunkach, mam liczący się dorobek w teatrze i w filmie.

— Krążą opinie, że reżyserzy boją się pani zbytnej samodzielności, a równocześnie podkreśla pani zawsze, że woli się podporządkować reżyserowi. Czy nie ma w tym sprzeczności?

— Ja nie widzę w tym żadnej sprzeczności. Koncepcja reżysera jest dla mnie najważniejsza, ja ją mogę tylko dopełnić. Jest coś w tym, że się mnie boją. Niedawno na planie Piotr powiedział, że jestem trudna dla reżysera. Myślę, że wynika to z tego, że jestem na próbach zawsze niepewna tego, jak ma wyglądać moja rola i pokrywam to drwiną. Koledzy często odbierają ją jako szyderstwo i odnoszą do swojej osoby. A jestem bardzo nieśmiała i kiedy na próbach kotłuje się wszystko we mnie, bo przecież czepierze się z siebie, to dochodzi do takiej koncentracji, że wytwarzam taką skorupę przez którą trudno się przebić.

— Taka forma samoobrony.

— Tak. Myślę, że tak.

— Wobec tego jest pani na dyktaturę w teatrze?

— Zdecydowanie. Demokracja w teatrze nie przynosi nic dobrego. Dowiodła tego tradycja. Teatr musi mieć przywódcę duchowego.

Rozmawiała  
EWA GAŁAZKA